Ze Śląska w świat literatury i nauki. Prof. Florian Śmieja (1925-2019) o sobie.

Profesor Florian Śmieja podczas uroczystości wręczenia doktoratu honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego w 2015 r.

Kiedy w 1945 roku skończyła się w Europie wojna, władze narzucone Polsce zażądały natychmiastowego rozwiązania Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Byłem wtedy w Szkocji. Brytyjczycy zarządzili apel wszystkich polskich żołnierzy i na nim, ich oficerowie wręczali nam, każdemu z osobna, ulotkę z wezwaniem do powrotu do Polski podpisanym przez angielskiego ministra spraw zagranicznych, Ernesta Bevina. Część kombatantów wróciła, większość rozjechała się po całym świecie. Ci, którzy pozostali w Wielkiej Brytanii, zostali wcieleni do Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia pod rozkazami Jego Królewskiej Mości Króla Jerzego VI. Ponieważ toczyła się jeszcze wojna z Japonią, straszono, że istniała możliwość wylądowania w

innej scenerii konfliktu.

W rzeczywistości jednak, kto miał przydatny fach, szukał lokalnego zatrudnienia. Mój kolega znalazł pracę jako piekarz na szkockich wyspach Orkadach. Ja próbowałem naprawy zegarków, ale w końcu zapisałem się na kurs dla rybaków dalekomorskich, licząc na możliwość dobrych zarobków umożliwiających później studiowanie. Byłem już parę dni w porcie w Aberdeen, gdy dostałem wiadomość, że przyznano mi stypendium na studia humanistyczne w Irlandii. Pukając bowiem do wszystkich drzwi, zajrzałem w Londynie do polskiej katolickiej organizacji Veritas, która zabiegała o pozyskanie w Irlandii miejsc na uniwersytetach na studia przez Anglików nie przewidziane. Wprawdzie lista kandydatów już była zamknięta, ale urzędnik kwalifikujący, ujrzawszy na moim świadectwie maturalnym stopień bardzo dobry z łaciny, obiecał miejsce pod warunkiem, że będę studiował łacinę.

Słowa dotrzymałem, do łaciny dołożyłem grekę. Po służbie w wojsku, studiowanie w miłym mieście było wymarzoną wygraną losu. Na uniwersytecie w południowej Irlandii zdumiało mnie, że pięć katedr humanistyki obsadziły kobiety. Moja profesor od literatury angielskiej, Brigid McCarthy, była znakomitą autorką dwu tomów *The Female Pen* – historii brytyjskich pisarek, wybitnej wczesnej pracy o ich dorobku; była koryfeuszem ich walki o równouprawnienie. Prawdziwym jednak dla mnie

odkryciem był oferowany na uczelni w Cork język hiszpański, w owych czasach nieznany mi zupełnie i egzotyczny. Z czasem on i jego kraj stać się miały zastępczą ojczyzną i wielkim ukochaniem. Jego piękno i łatwa dla Słowianina wymowa oraz dobry fundament łaciny ułatwiły szybki postęp. Konwersacje z hiszpańskimi rybakami przebywającymi przypadkowo w Irlandii zastąpiły z czasem coraz częstsze odwiedziny Półwyspu Iberyjskiego. Nad wyraz kulturalny i szarmancki profesor Irlandczyk, dr J.G. Healy, okazał się nauczycielem bardzo pomocnym i inspirującym.

Po uzyskaniu licencjatu niespodziewanie zostałem asystentem dra Jerzego Pietrkiewicza w Londynie. Aczkolwiek znalazłem się w aurze języka polskiego, mój szef radził mi pielęgnować język hiszpański, więc zapisałem się na dalsze studia hispanistyczne w King's College w Londynie.

Tu wtrącę ciekawostkę. Ucząc polskiej konwersacji u Pietrkiewicza, udzieliłem też kilku lekcji języka polskiego przez hiszpański kuzynowi późniejszego króla Hiszpanii, księciu Adamowi Czartoryskiemu z Sewilli, który z matką i ojczymem pojawił się na krótko w Londynie.

W stolicy Anglii zrobiłem więc magisterium, a potem doktorat.

Seniorem hispanistyki był tam w tym czasie profesor Edward

Wilson, wsławiony znakomitym przekładem arcykunsztownego poematu Luisa de Góngora *Soledades*. Jego wiedza o siedemnastowiecznej literaturze i folklorze oraz znajomość wybitnych Hiszpanów były niekwestionowanymi atutami, z których i ja skorzystałem, kiedy przyznawszy mi drobną kwotę, wyprawił do Madrytu z osobistą rekomendacją adresowaną do grona zbierających się regularnie na popołudniową *tertulię* profesorów i uczonych. W ten sposób poznałem byłego dyrektora Biblioteki Narodowej Antonia Rodrígueza-Moñino i potrafiłem korzystać z niezwyczajnej erudycji, a nawet rzadkich książek wybitnych bibliotekarzy. Wilson poznał już w 1929 roku renomowaną *Residencia de Estudiantes* i w trudnych czasach dyktatury sprowadzał na gościnne wykłady do Londynu wybitnych twórców i pedagogów. On także dał impet do rewizji studiów calderonowskich, przyczyniając się do powstania respektowanej „szkoły brytyjskich calderonistów", którzy wsławili się znakomitymi interpretacjami teatru Calderona, jak też wydaniami krytycznymi jego tekstów. Miałem też jeszcze przyjemność poznać go jako szlachetnego amfitriona, kiedy egzaminując w jego okolicy maturzystów, przez kilka wieczorów zajeżdżałem do Kolegium Emanuela w Cambridge, gdzie mnie podejmował jego gospodarz dobywający spoza wiadomych sobie foliałów butelki znakomitego wina.

Kiedy Wilson odszedł do Cambridge, w King's College w Londynie pojawił się Aleksander Parker, urodzony w Urugwaju,

syn konsula, wykształcony w Anglii przez dominikanów, a później w Cambridge. To on wespół z Wilsonem kontynuował studia nad Calderonem i pochylił się nad jego teatrem religijnym, stwarzając o nim kanoniczne teksty. Przejął on pieczę nad moim doktoratem i został moim mistrzem, nie szczędząc czasu i cierpliwości, a potem opieki, polecając mnie na wykładowcę wpierw do London School of Economics, a następnie na Uniwersytet w Nottingham.

Kiedy osiedliłem się w Kanadzie, Parker też zawitał za Atlantyk, najpierw na Jamajkę, a w dalszej kolejności na katedrę w Teksasie. Jako zawołany ogrodnik doświadczył wielkiej satysfakcji, patrząc na bujność i bogactwo przyrody amerykańskiej po klimatycznych ograniczeniach Wysp Brytyjskich.

Ale wśród brytyjskich naukowców i tekstów zdarzyły się też polonika. Miałem szczęście wcześnie natrafić na wydany bodaj we Wrocławiu tekst profesora Stanisława Skiminy o wykładach z poetyki, demonstrujących rewelacyjną teorię konceptu jezuity Macieja Sarbiewskiego, z którą zaznajomiłem natychmiast Parkera, a następnie mojego egzaminatora z Oksfordu, profesora Roberta Pring-Milla.

W 1952 roku z Krakowa przyjechała profesor Stefania Ciesielska-Borkowska i razem pojechaliśmy na pierwszy Światowy Kongres

Hispanistów do monumentalnego oksfordzkiego Kolegium Corpus Christi, gdzie zebrali się najwybitniejsi hispaniści z całego świata z nieomal stuletnim, legendarnym Ramónem Menendézem Pidalem, Dámasem Alonso i Francuzem Marcelem Bataillonem na czele. Zapamiętałem, może przewrotnie, incydent nocnego powrotu niektórych tych luminarzy gramolących się niezdarnie przez okna, jak sztubacy, gdyż bramy kolegium zostały przepisowo zamknięte, a wiekowym intruzom groziła niepyszna defenestracja.

W bibliotece British Museum spotkałem profesora Władysława Folkierskiego i pokazałem mu mój bodaj pierwszy artykuł naukowy tyczący literackich związków polsko-hiszpańskich. Udało mi się obalić tezę profesora Edwarda Porębowicza, który przypisał niezidentyfikowane wiersze szesnastowiecznego poety Sebastiana Grabowieckiego wczesnej literaturze hiszpańskiej. Zamknąłem się na trzy tygodnie w bibliotece British Museum i wertowałem szesnastowieczne teksty hiszpańskie. Po ich zbadaniu sięgnąłem do literatury włoskiej i rozpoznałem wszystkie poszukiwane teksty u Bernarda Tassa (1493-1569). Konkludowałem pochopnie, że udowodniłem, iż Grabowiecki nie znał literatury hiszpańskiej. Kiedy profesor Folkierski zauważył z łagodnym uśmiechem, że tego nie udowodniłem, akceptował moje poprawione stwierdzenie, że jeżeli takową znał, to znajomość ta nie zostawiła żadnych śladów w jego twórczości.

(…)

Mówiąc o drodze naukowej muszę także pamiętać o dzielnych poprzednikach i towarzyszach mojej wędrówki. W pierwszym rzędzie moje laury należałyby się dziadkowi, czyli jak mawiamy na Opolszczyźnie, starzykowi, Urbanowi Kuligowi, który nawet w najgorszych czasach szalejącego w latach trzydziestych narodowego szowinizmu prenumerował polską prasę i nie tracił wiary w powrót sprawiedliwej macierzy. Następnie myślę o jego córce, a mojej matce, Rozalii, żyjącej w latach niesprzyjających edukacji kobiet, a lokującej w swoim najstarszym synu nadzieję duchowego wzrostu. To ona przekonała ojca, że warto przenieść mnie ze szkoły powszechnej w Kończycach do „ćwiczeniówki" w Tarnowskich Górach po to, aby umożliwić mi dalszą naukę w gimnazjum, o czym marzyłem.

Wreszcie muszę podziękować mojej dzielnej żonie Zofii, obarczonej czworgiem dzieci, która niemniej przeto pozwoliła mi latać kilkanaście razy do polskich studentów i to na znaczne okresy czasu.

Przed wojną, kiedy jeździłem regularnie na ferie na Opolszczyznę, poznałem dostojną gwarę i mówiących nią zacnych ludzi spod znaku Rodła. Ta wspaniała, a topniejąca z czasem garstka w latach ciężkiej próby zdobyła się na niewiarygodny wyczyn: na uchwalenie w Berlinie w 1938 roku

pięciu prawd zaleconych dla swoich członków, z których najpiękniejsza, „Polak Polakowi bratem”, dziś jeszcze nie straciła swojej ważności i sądzę, że zasługuje na adopcję przez cały naród jako cenne wiano bohaterskiej sztafety pokoleń.

Fragment przemówienia wygłoszonego przez prof. Floriana Śmieję podczas uroczystości nadania tytułu doctor honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego w 2015 r.

Profesor wysłał mi ten tekst dwa lata temu, z sugestią, żeby ukazał się, gdy już go nie będzie.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Zobacz też:

https://www.cultureave.com/wywiad-z-prof-florianem-smieja/

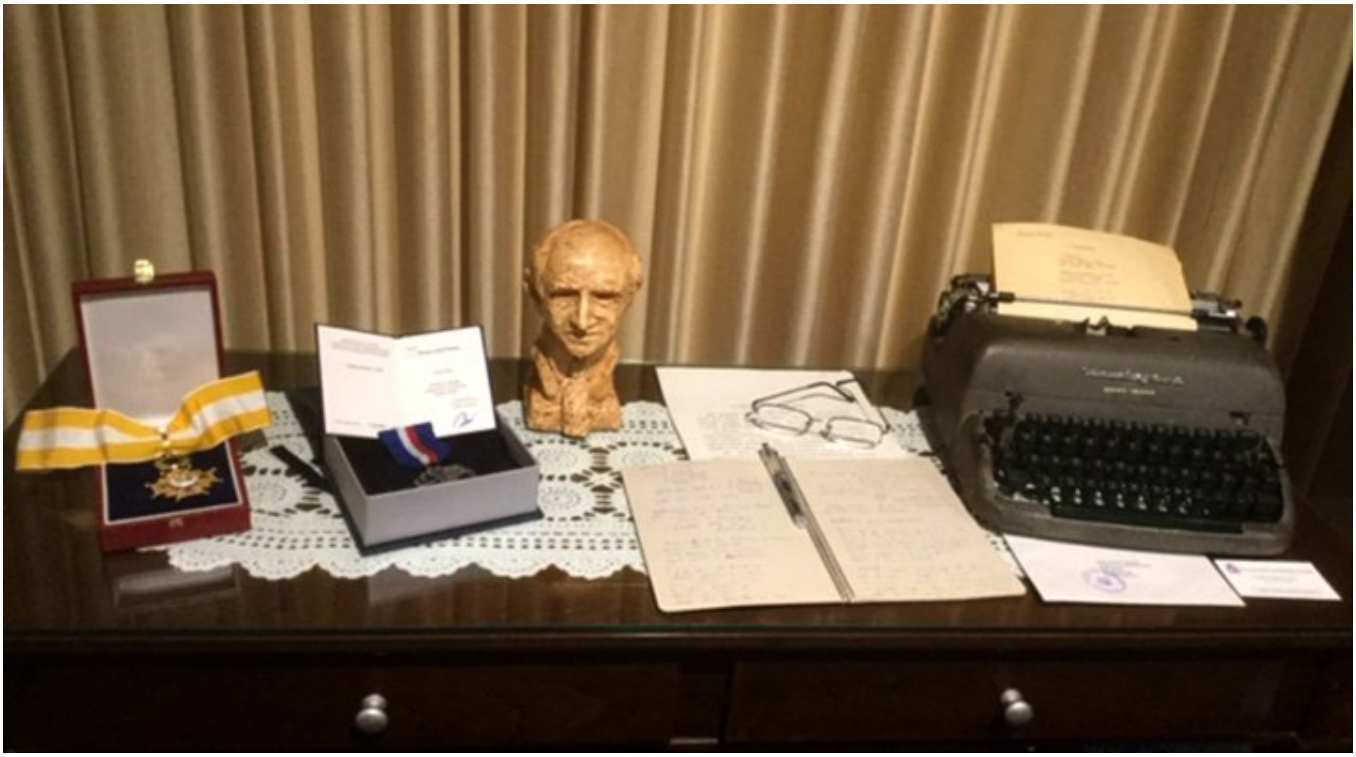

Uroczystość pożegnalna prof, Floriana Śmieji, 6 września 2019 r., Mississauga (Kanada), fotografia przekazana przez rodzinę.